

Pszonka wychodzi dwa razy na miesiąc. Każdy oddział składa się z dwunastu półarkuszów, których cena dla emigracyi franków pięć, za granicą złotych polskich dwanaście. Komu z emigrantów dogodniej, może rozdzielić opłatę na dwie części. Adres Redakcyi: *M. André*,



Polonais, rue Vieux-Marché aux Poissons, 69, à Strasbourg (Bas-Rhin). Można także zapisywać się i składać opłatę w Paryżu: w Redakcyi *Demokraty Polskiego*, w Księgarni Polskiej i u Ob. Jokisza; na prowincyi zaś u sekretarzów Towarzystwa Dem. Pol.

PSZONKA.

CO TO Z NAMI DALEJ BĘDZIE ?

Nieraz można słyseć pomiędzy nami podobne zapytanie. Nie byłoby w niem nic do zganienia, gdyby ono znaczyło po prostu, co każde zapytanie znaczy, chęć dowiedzenia się czego niewiemy. Ale kiedy je kto kładzie w taki sposób, że w niem widać zniechęcenie, narzekanie, zwątpienie zupełne o Polskę; kiedy w głębi tego niby zapytania leży odpowiedź: Nie już z nas niebędzie—natenczas potrzeba je rozstrzygnąć według naszego także widzenia rzeczy. Na ten raz zwrócimy się głównie do smutnej strony emigracyjnego ducha, a co tu powiemy, może się w potrzebie i do krajowców rozszerzyć.

Pojmujemy narzekanie w sprawach potocznego życia: człowiek tam kręci się po kółku poziomem, cel jego poziomy, poziomość włada prawnie jego duszą, bezsilność w obce niepowodzeń jest w porządku rzeczy, narzekanie ulżywa, człowiek naówczas jest przynajmniej w zgodzie z samym sobą, ale człowiekowi publicznemu jakim jest dzisiaj każdy Polak, a tym bardziej emigrant, upaść w sprawie narodowej przez którą jest czémkolwiek jest. upaść do tego stopnia, żeby się uchwycić tylko za narzekanie, tego ani pojąć, ani nazwać niepotrafimy. Słuchaj ty co narzekasz, dla czego zostałeś emigrantem? Czy po pijanemu, czy przy zdrowych zmysłach opuszczałeś ojczystą ziemię? Czy poszedłeś ażeby popić z Niemcami, nauczyć się po francuzku, pobawić się w Paryżu, i wrócić sobie kiedy ci się podoba, do Polski jaka jest? Nie! odpowiadasz, wyszliśmy z pokonaną żęby wrócić do zwycięskiej. A przez kogo zwycięskiej? przez takich jak ty. Zastanówże się teraz... Porzuciłeś wszystko dla twojej sprawy dobrowolnie, z wiedzą co robisz, ślubowałeś poświęcić jej wszystko, cokolwiekby wypadło, dobrze lub źle, a dzisiaj narzekasz! Wyczerpał-żeś dla jej podniesienia wszystko co od ciebie zależało? Poświęcił-żeś wszystko dla niej co możesz, co powinieneś poświęcić, ażeby ci już wolno było narzekać? Masz na sobie odzież, którą możesz na tańszą zamienić, a resztę do skarboxy publicznej złożyć, a ty narzekasz! Masz na dwie potrawy, możesz obejść się jedną, a co zbędnie obrócić na użytek publiczny, a ty narzekasz! Masz zdrowy umysł, możesz

dać pożyteczną radę, a ty narzekasz! Masz władzę w rękach i nogach, możesz pójść i ubić aby jednego wroga, a ty narzekasz! Pozostało ci życie, możesz po stracie wszystkiego sam zginąć, a ty narzekasz! Powiedz-że teraz czy jesteś dla kraju tém czém być powinieneś? Czy twój patriotyzm nie jest bryłą lodu, która taje w miarę przeciwności gorętszych? Czy twoje wykrzyki poświęcenia się nie są piosenką chwilowego pijaństwa, której po trzeźwu zapominasz? Czy twoje piękne słowa nie są omludą, śluby wiarolomstwem? Czy twoje powołanie nie jest dla ciebie uciążliwą pańszczyzną? Powiedz sam, niejesteś-że człowiekiem bez ślachtetnych uczuć, bez przekonania, bez wytrwałości, słabym, niedołęgą, krzywoprzysięgą, zgola człowiekiem najnikczemniejszym? Nie!.. Polak emigrant dopóki niema ojczyzny, dopóty bez szemrania, bez zachwiania się powinien wszystko jej poświęcać, a w końcu życie, i wtedy, jeśli może, niech narzeka. Ale kto narzeka swobodny i zdolny do działania, ten niepowinien rościć sobie prawa do ludzkiego szacunku, niegodzien używać szczęścia w przyszłej, wolnej Polsce, niegodzien jej oglądać.

TRZEJ PRETENDENCI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA I.

I.

Byłoto w roku 1831, w miesiącu Lipcu, w Paryżu. W mieszkaniu legacyi polskiej—rewolucyjnej—dwóch znajdowało się mężczyzn: jeden słuszny wzrostem, z wyrazem otwartej duszy, żołnierskiej odwagi na czerstwej jeszcze twarzy, choć osrebrzonej białym włosem, przechadzał się wielkimi krokami po salonie, i często niespokojny wzrok ciskał ku drzwiom; drugi chudy, nędzny, siedział schylony nad pliką listów, raportów, dzienników, jedne po drugich brał i rzucał, i równie jak pierwszy

¹ Wszystko co tu opowiadamy jest całkiem historyczne. Po dowód odsyłamy czytelnika do dzieła: *Un Episode de l'insurrection de Pologne 1830 à 1832*, par M. JULES POULAIN, Paris, 1839 — i do *konwencji Czartoryskiego z Wassowiczem* ogłoszonej w przeszłym półarkuszu pisma naszego.

ucho puszczał ku wschodowi. Pierwszy był znany w dziejach naszych wojennych — Jenerał Kniaziewicz; drugi zaś piastun licznych w Polsce kongresowej urzędów, a teraz nowo-zaciekny rycerz pod chorągiew dyplomacji — hrabia Plater.

— Oto już i jedenasta, mówił dyplomata poglądając na zegarek, a naszego pretendenta niewiada; bodaj czy Francuz nas niemistyfikuje.

— Niespodziewam się, odparł Jenerał, czytałem w jego oczach prawdę.

— Ale ho to niepodobne do uwierzenia — niesłychane rzeczy — pretendent do korony moskiewskiej!... naturalny syn Aleksandra! Książę Adam taki dyplomata zawołany, osobisty przyjaciel Aleksandra, byłby przecie coś o tém wiedział.

— Może téż tajemnicy dochowuje swemu przyjacielowi, wtrącił Jenerał z przekąsem.

— Być może. Wszelako w dyplomacji przyjaźń rzecz podrzędna, i książę pewniehy poforsował.

Ach! co na to powiedzialby korpus dyptomatów, co Tallejrandy, co Meternichy? gdybyśmy bez krwi rozlewu, pokazawszy Carowi kogo mamy, wytargowali na nim swobody konstytucyjne, a potem rób sobie z pretendentem co ci się podoba.

— To źle, to jakoś podstępnie, niezdaje mi się... Lepiej po prostu puścić samego, niech jak Pugaczew zbuntuje pół Rosyi. Przynajmniej dla naszej wiary co tam krew przelęwa, mniej nieprzyjaciół będzie na karku.

— Ja przekładam drogę polubowną... Ale oto jeśli się nie- myślę, nadchodzi.

Drzwi właśnie otworzyły się i weszło dwóch mężczyzn, jeden był średniego wieku, Francuz Poulain; drugi dwudziesto-dwuletni młodzieniec, bardzo ujmującej powierzchowności.

Francuz zaprezentował go pod imieniem księcia Etstorm Panowie delegowani przyjęli go z wielką uprzejmością, ofiarując zaszczytne miejsce na sofie. Hrabia z szczególniejszą uwagą mierzył każdy ruch, każde spojrzeńie, a tém bardziej każde słówko nowo przybyłej osoby. Jenerał wprost zagabiał:

— Pan jesteś synem nieboszczyka cesarza Aleksandra?

— Tak jest. Mam dowody, odrzekł książę z powagą i krwią zimną.

— Masz stosunki na Syberyi z jeńcami?...

— Najciślejse...

— Dobrze. Więc jedź do Warszawy, stamtąd rząd cię wyprawi, da pieniądze, środków...

Lecz hrabia z niecierpliwości niemogąc dosiedzieć, zerwał się, i uprowadzając Jenerała na bok:

— Ależ Jenerale! kto widział tak obcesowo? Musimy go wprzód wysondować, wyciągnąć, zbadać, tak nieuchodzi w dyplomacji.

— Różne sobie hrabio jak ci się podoba, u mnie po wojskowemu: ruszaj i bij.

Oswoobodzony hrabia na polu działań, przysiadł się bardzo blisko do pretendenta, i wszczął z nim poważną rozmowę o całej historii jego życia. Zapytania szły po zapytaniach, odpowiedzi po odpowiedziach; kiedy niekiedy, dla poparcia jakiego dowodu, list przechodził z ręki do ręki; znów dla sprawdzenia daty lub położenia miejsca, zrywano się do słownika konwersacyjnego, lub do kart geograficznych. Prawda! wszystko prawda co nieznamy mówi. Opisuje Belweder jakhy się tam wychował. Zna szczegóły związków Pestla, Wysockiego. Opisuje noc 29 listopada i mówi że za naszą wolność krew przelęwał. Wymienia nazwiska jeńców Polaków i Moskali jęczących na Syberyi, a o śmierci swego papy — cesarza Aleksandra — prawi jak naoczny świadek...

Hrabia wyczerpał cały arsenał argumentów *pro* i *contra*; ruszył statystykę, jeografię, botanikę, historię, mineralogię, dyplomację, administrację, spekulację, exaltację, i na niczém nieczłapał! Uradowany, zacieraając ręce, pociągnął Jenerała ku oknu:

— Takiego nam trzeba, szepnął, dałbym się powiesić że to prawdziwy Carewicz.

— Doprawdy? Więc go posyłajmy na Sybir.

— Na Sybir, niewiém; ale oto właśnie piszę dla niego list rekomendacyjny do Warszawy. Książę Adam będzie wiedział jak go użyć...

Hrabia zaraz usiadł i wygotował list polecający, i wręczył go księciu z komplementem iż ma nadzieję niedługo ujrzeć go na potężnym tronie północy...

— A ja, odrzekł protekcyonalnie pretendent, widzieć cię hrabio, ambasadorem polskim na dworze petersburskim.

— Co daj Panie, amen! zawołali wszyscy.

Po wyjściu z hotelu legacyi polskiej, Poulain niemogąc się wydziwić osobliwym szczegółom i drobnostkom jakie książę rozpowiadał o śmierci Aleksandra, jego żony i intrygach dworu Carskiego-siła, zaproponował mu, aby wstąpił z nim do jednego ze znajomych, który łakomie zbiera wszystko co się tyczy petersburskiego dworu, i będzie najszczęśliwszy z poznania tak znakomitego gościa.

— Zgoda, odrzekł z lekkością książę, nagadam mu, że i na byczej skórze niepisze.

I weszli niebawem do salonu, gdzie ich powitał mężczyzna podszłego wieku.

Rozmowa wszczęła się między księciem a gospodarzem domu o krwawym dramacie carów; starzec więcej słuchał jak pytał, a więcej jeszcze okiem wnikał jak słuchał. Po całej godzinie, gdy się materya wyczerpała, a książę zabiierał się do wyjścia, Poulain przystał się i zapytał tajemniczo:

— Jakżeż panu zdaje się ten człowiek?

— Strzeż się, to szpieg — ale tém niebezpieczniejszy bo ma i rozum i naukę.

Ów staruszek, taki znawca ludzi, byłto pan Demarest, niegdys naczelnik tajnej policyi francuzkiej za Napoleona.

II.

W dziesięć lat potem, bo w 1841, w jednym z hotelów paryskich, na przedmieściu du Roule, siedział siwiuteńki starzec przed kominkiem, gdzie tlało jeszcze kilka węgli, i zdał się zatopiony w głębokich myślach. Treść ich nie musiała być zbyt wesoła, bo czło i policzki poorane bruzdami namiętności, czasu, mozolnych zabiegów ambicji, połałdowały się jeszcze mocienię, a zółkła cę obrzucił ciek jakiejś wewnętrznej śmierci. W ręku trzymał kilka listów i dzienników, zmiął je, starł, i cisnął gniewnie na ogień.

— Wszystko mię zdradza! zawołał z płaczem dziecięcia — Stronniczy zasad ogłaszanych przeze mnie, nieprzyjaciele zasad demagogów, przyjaciele kupien zlotem, protekcyą, obiadami, herbatą, czciciele mojej dyplomacyjnej głowy, mojego drzewa genealogicznego co wyrasta z Gedyminowego szczepu, mojego Wallenrodyzmu nawet — wszyscy! Cóż że *Trzeci-Maj* krzyczy a krzyczy swoje: *Eccce homo!* ale jest-że to głos cohy Polskę elektryzował aż do szpiku, cohy wzbudził wiarę, że kiedy jest król de facto, tém samém jest królestwo? Mam uzdę a konia niemam! trafnie przystosować mogę do siebie. — Ach! bo na cóż się uwodzić! Gdzie mój *punkt oparcia*? Żaden z dworów nietraktuje ze mną, choć wszędzie puszczam, żem jedyny reprezentant sprawy polskiej, król de facto. — W kraju zbezczeszczono medal z mojem popiersiem, tém bardziej moją osobę, gdybym się tam pokazał... Nieraz w rozpacz, powątpiewaniu, chciałbym gdzie u Bernardynów osiąść na dewocyi, wyprzeć się tego tronu po który ród nasz od stu lat sięga; — ale kogo żądło ambicji raz dojmie, niezém się nieuleczy. O korono Polski i Litwy! złoty śnie całego żywota! muszę cię mieć na tém tu czole, choćby....

Właśnie kiedy starzec z młodzieńczym zapalem deklamował stojąc na środku pokoju, wpadł średnich lat mężczyzna, łysy, czupurny, z miną kozacką, huńdziuczna.

— Książę! wołał on zadyszany i spocony, książę! królu! atamanie! Wielka nowina!

— Mów! cóż takiego? czy może demokrację wypędzili z Francyi?

— Fraszka demokracja!

— Czy jakie państwo uznało mię królem? Mów, czy nie rzeczpospolita San-Marino?

— Lepiej, lepiej! odkryłem! znalazłem!

— Kogo? Mówże!

— Sławianina! księcia Sławian! Słuchaj książę—Opatrzność nic więcej, czuwa nad nami, i zsyła nam obrońcę, sprzymierzeńca, bohatera.

— Pokażę mi go.

— Jest tu, zostawiłem go w salonie z sekretarzem w rozmowie. Wielka figura, naczelnik pewnej sławiańskiej ziemi... Spiesz się książę na przyjęcie.

— Ależ potrzeba mi dworu, powagi.

— Wszystko zrobiłem. Cały Trzeci-maj w czarnych frakach i złotych rękawiczkach gotów, czeka na rozkazy księcia pana.

Staruszek ów, czyli książę przebrał się natychmiast i w towarzystwie licznej świty wszedł do salonu, gdzie powitał nieznanego.

— Jego Książęca Mość Książę Wassowicz! tak go zareprezentował mistrz ceremonii.

Dwie książęce osoby z całą godnością usiadły obok siebie.

— Czemuż winienem wizytę tak dostojnego gościa, zapytał starzec z powagą.

— Imię twoje panie, nieszczęścia, wielkie cele polityczne! Ja również jestem syn prześladowanej ziemi Sławian, my pobratymcy—książęta! Zamiar mój zrzucić jarzmo pod jakim języ kraj mój. Potrzebuję dzielnego sprzymierzeńca, któryby mi dopomógł. Szukałem po różnych dworach—zimne dusze! lecz ty książę, coś bóstwem twego ludu, zechć się, dopomóż, a cała Sławiańszczyzna na głos mój powstanie....

— Otoż i mój punkt oparcia! pomyślał w duchu starzec. Otoż monarcha na którego mogę liczyć. Trzymajmy go, ułówny w ścieżkę dyplomatyczną.

— Wolnoż zapytać nad którą częścią Sławian panuje książę? zapytał głośno.

— Jest to, jest to—kraj, księstwo, królestwo między Czernogorą a Serbią.... Co za kraj! jakie bogactwa! jaki lud! ach lud! on uwierzy że ja zmartwychwstały Marko królewicz, i ty sięciami pociągnie za mną; ale mi potrzeba....

— Rozkazuj książę.

— Pieniądzy!

— Znajdziemy. (Do siebie) Damy dobroczynne właśnie siedzą w hazardzie....

— Ale niedość mieć pieniądze, trzeba mi....

— Rozkazuj książę....

— Broni, przynajmniej 15,000 bagnetów.

— I to się znajdzie. (Do siebie) Polskę pociśniemy, szlachta złoży się.

— Pieniądze, broń, i tego niedość....

— Rozkazuj książę....

— Ludzi mi trzeba.

— Ludzi? najmniejśza. Mamy emigrację. (Do siebie) Nie chciało iść do Portugalii, ani do Hiszpanii, ani do Algieru; ale jak im zamydlimy oczy Sławiańszczyzną, pójdą jak na miód. (Głośno) Wieleż księciu trzeba?

— Choć ze trzysta zdalnych żołnierzy i oficerów.

— I więcej bym dostarczył. Należałoby wszakże, luboć słowo księcia ufam, dla dyplomatycznej pamiątki, coś zrobić czarne na białém—układ, traktat, konwencyę....

— Zgoda! o! zgoda!

Przywołany sekretarz zredagował konwencyę między Jego Książęcą Mością Księciem Czartoryskim a Jego Książęcą Mością Księciem Wassowiczem. Znany ten akt podpisali owi dwaj naczelnicy narodów, i rzucili się sobie w braterskie ramiona, zatwierdzając wiekuiste przymierze.

— Kochany sprzymierzeńce! mówił książę Wassowicz na odchodzie odciągając Czartoryskiego na bok, wiész położenie moje.. takim się wyszeptał na potrzeby ojczyzny, że jestem żenowany... rozumiesz...

— Ach! Wszystko! wszystko co mam podzielić z tobą, zacne Książę Sławiańskie!

I starzec wybiegł do drugiego pokoju i ciężki rulonik wcisnął w łapę przyszedemu carowi Sławiańszczyzny.... Biedny żołnierz polski byłby może susa dostał.

III.

Teraz wyobraźmy sobie że za pomocą owego czarnoksięskiego płaszcza w bajce, scena i aktorowie przenoszą się do Rzymu; tamtędy szła droga błędnemu księciu, który z olbrzymimi projektami jechał na swoje państwa. Do boku Jego Ks. Mości dodany został *homme de confiance*, powiernik, zausznik, factotum króla polskiego de facto, z obowiązkiem przekonania się naocznie i na gruncie, najpierw o siłach, ludności, bogactwach, środkach owej sławiańskiej krainy, a nareszcie, czyli rzeczywiście takowa znajduje się na kuli ziemskiej; ostatni ten warunek dodano li tylko z wielkiej dyplomatycznej oglądnosci. Przybysze nasi, jak zwykle, moeno byli wzruszeni na widok stolicy apostołskiej, mianowicie książę, który należąc do greckiego kościoła, wszystko oceniał, jedynie pod względem umniczym; wkrótce jednakże uległ atmosferze czysto katolickiej, i bardzo naturalnie: powietrze tam napelnione aktami strzelistemi, obłoki mają woń myrry, deszcz kropi święconą wodą, ptaszki świągocą *Ave Maria*, kobiety same Madony, mężczyźni aniolki tonsurowane i nietonsurowane. Cóż dziwnego że w świecie tak mistycznym i naszymu kniazowi zachciało się przejść na łono rzymskiego kościoła, i to jeszcze nie samemu, ale z całym ludem, z całym wielo-milijonowym ludem owej krainy bez początku i końca.

Jednego też dnia, książę i *homme de confiance*, szli prosto do Watykanu całować pantofel Ojca S., a przy tej okolicznosci odprawić wielki akt poddania się kościołowi rzymskiemu.

Ojciec Sł przyjął ich bardzo dobrotliwie, ciesząc się z nowych owieczek; ale kardynał Lambruschini, wielki exorcysta, postrzegł pazurki szatańskie, i rozki wyglądające z pod baraniej skóry kniazia sławiańskiego.

Stąd poszło, że stolica niebardzo uradowała się, nawet zimno zaczęła traktować, a w końcu przebąkiwać o zdradach i zasadzkach moskiewskich.

Z tego znowu, że gdy *homme de confiance*, przebudził się jednego poranku i posłał grzeczne dzień-dobry szlaf-kamratowi swemu-kniaziowi, nieotrzymał żadnej odpowiedzi; powtórzył raz, drugi i trzeci—znowu milczenie; w końcu zerwał się równemi nogami i zajrzał do drugiego pokoju.—O dziwo! łóżko nawet nietknięte, a z komody i szafy znikła cała książęca garderoba.

— Złodzieje! krzyknął zrazu *homme de confiance*.

— Złodziej! łotr! oszust! powtórzył po chwili, przeczytawszy kilka wyrazów, które książę na stole zostawił.

A potem załamując ręce: Niestety! jeden był *punkt oparcia* dla sprawy króla de facto, aczkolwiek śliski, lecz imponujący, dyplomatyczny; teraz wszystko przepadło—siedzimy na gołym lodzie!

KRONICZKA KIESZONKOWA.

IMIENINY KRÓLA DE FACTO.

Cobyto był za król któryby nie miał imienia? dla tego sam Król de facto który niema nic, ma imię; gdzie jest imię, tam są imieniny, a gdzie imieniny królewskie tam są wierni poddani, skwapliwi do ich obchodzenia. Mogliż wierni poddani przyszedłego Adama I^{go} niezłożyć mu swojego holdu w taką uroczystosc? Złożyli. *Trzeci-Maj* doniósł o tém, my jako historycy dopełniamy to doniesienie wiadomemi nam szczegółami.

Obrzędowe grono składało się z różnego stopnia wiernych, jawnych i tajnych służebników Solennizanta mającego być kiedyś Najjaśniejszym, z dygnitarzy przeszłych i przyszłych, ze wszystkich stanów tego państwa, w najlepszych swoich próbkach—jednym słowem, ze rdzenia stronnictwa rdzennego, a mianowicie byli tam następujący:

JW. Narecz hrabia Olizar, kasztelan.

- W. Ludwik Bystrzanowski.
 W. Janusz Woronicz.
 WW. Władysław i Karól Sabatynowie.
 W. Napoleon Poźniak.
 W. Jan Omieciński.
 W. Bolesław Wielogłowski.
 W. Ferdynand Chotomski, pólkownik.
 W. Grothuz, pólkownik.
 WW. Fijałkowski, podpólkownik i jego syn.
 W. Łuszczewski, poseł.
 W. Izenszmidt, podpólkownik.
 W. Wacław Jabłonowski, pierwszy fejtetonista *Trzeciego-Maja*.
 W. Boczkowski.
 W. Matuszewicz, podpólkownik (piorunowy).
 W. Trzeciak.
 W. Tendowski (z żandarmów).
 W. Michałowski (konduktor z ponts et chaussées).

Rola mówcy od zgromadzenia przypadła naturalnie na jednego z najszerszymi plecami i najwyższego dostojenstwem, a więc na JW. Kasztelana i Narcyza i Hrabiego i Olizara; a że szanowny mówca umie czytać, mowa więc przeniesiona była na papier i włożona mu w zanadze. Niestety! jeden traf nieprzewidziany pomieszał cały układ. Processya ta spotkała, na samych wschodach pałacu, Mickiewicza idącego w tęż drogę. Trzecha było albo się cofnąć, albo iść naprzód: poszli naprzód. Weszli, ale obecność niewtajemniczonego spowodowała podobno ze strony króla nieznaczne dyplomatyczne skinienie, w skutek którego wymowny papier, wydobyty już w połowie, wrócił do kryjówki, czekając lepszych na przyszły rok czasów, a życzenia odbyły się ustnie. Księża Jełowicki i Kamocki, Morawski Teodor, minister, i Dobrowolski Agronom, uprzedzili grono wieszające które ich już zastało na pańskich pokojach. Oto jest krótkie sprawozdanie tej ważnej czynności w dziejach dynastji de facto; *Trzeci-Maj* dopełni zapewne listę osób i opowiadanie gdzie tego jest potrzeba.

MASKARADA BABIŃSKA.

Karnawał się skończył! I czyż może być obojętniejsza nowina dla emigracyi, która od lat przeszło dziesiątka niewie co to karnawał; dla emigracyi, po dniach całych przy warsztatach zajętej; dla emigracyi, jak zwyczajnie na emigracyi w nędzy za Ojczyznę i rodziną tęskniącą.... Tak! zapewne! ale nie dla emigracyi w glansowanych rękawiczkach i lakierowanych bucikach; ale nie dla emigracyi babińskiej. Jak tam obojętność, politowanie nawet, tak tu żal, smutek; bo tamtym każda szczęśliwych wesołość, każde święto lub uroczystość, Polskę lub zwyczaj polskie spominająca, to pięć ran Chrystusa, siedem Matki-Boskiej boleści. a dla tych wraz z karnawałem wstępuje do grobu niejedna tańcząca herbata, niejedna pohulanka, swawola, kankan, itd. Szczęście że nasz wielki świat-babiński Paryż na stolicę swą wybrał; bo Paryż, to esencya oświaty, extractum rozumu, umie sobie w każdej radzi potrzebie, i kiedy karnawał krótki, albo chociaż długi ale się skończył, z postu zrobi mięso-pust. W tym naprzykład roku, tak był niegrzeczny kalendarz, że właśnie, kiedy nogi naszych baletników babińskich w najlepsze się rozbrykały, on głowy ich nagle posypując popiołem, ono starc: *prochem jesteś i w proch się obrócisz* do ucha szepnął. Taka niespodzianka w głupiej i barbarzyńskiej Polsce niejednemu surową była przestroga, ale tu, mają sposób na sposób. i żeby właśnie tém przytomniej i dowcipniej się znaleźć, tak zarządzone wyhornie, że czas postom i skrusze przeznaczony poszedł na hulanki, może od karnawałowych huczniejsze.— Więc nasi Babińcy bawią się w wielkim-poście powiadasz? Ba! i jak jeszcze, a na próbkę podajemy program Maskarady, może oto w tej chwili hercującej na jednym z babińskich salonów Paryża.

Dnia, miesiąca, roku pańskiego 1842, za pozwoleniem policyi paryskiej dana będzie MASKARADA BABIŃSKA, jak następuje:
 Jego Babińska Mość, w koronie o dwóch długich papierowych promieniach, w galonowym mundurze moskiewskiego ministra,

ale zawsze w płaszczyku à la Don-Karjos, w szarawarkach à la Don-Miguel, przedstawi osobiście Babińskiego Króla de facto. Towarzyszyć mu będzie adjutant W. Ks. Konstantego w postaci Marsa czyli boga wojny; żeby zaś ta rycerskość nieraziła kogo zbyt, przykuty będzie do niego plecami, sprowadzony umyślnie na tę uroczystość wielki męczennik pragski, w postaci Janusa czyli boga pokoju i *układów*, jako niedawno ogłądała emigracyjna publiczność na portrecie p. JBO.

Z uwagi że żyjemy w wieku w którym *varietas ditectat*, jeden z sławnych jenerałów babińskich wystąpi w postaci Herkulesa z baranią skórą na plecach, a zamiast maczugi będzie miał w ręku on kawałek kija, o którym w swoim czasie mówiły emigracyjne pisma.

Pewien hrabia, wynalazca żelaza galwanizowanego, przedstawi Merkurego.

Jenerał Chrzanowski, cnotliwego Ulisesa.

Pogromca Beduinów, arlekina z francuzkim krzyżem na pierśsiach

Przewielebny prymas babiński będzie w postaci Tyrsusa lub Licydasa, z kijem pasterskim w ręku, z piszczałkami u gęby i z białym barankiem przy boku; głowa w różach i wawrzynach.

Wieszcz londyński w postaci Trubadura, z gitarą przez plecy i torbą pełną sonetów pisanych do pieniędzy, przez różne damskie i męzkie, krajowe i zagraniczne towarzystwa zbieranych.

Naczelný redaktor *Trzeciego-Maja*, w postaci Don-Kiszota, jechać będzie zamiast Rosynanta, na jednym z nienaczelných redaktorów wspomnionego pisma, a wynalazca dynastji babińskiej towarzyszyć mu będzie jako Sanszo-Panszo.

Towarzystwo Literackie, jako ciężko nauczone a wiecznie milczące, wystąpi w postaciach rabinów i talmudzystów żydowskich.

W stębach na łopatach i miotłach przybędą na zabawę członkowie innego towarzystwa, i podług swego zwyczaju zbierać będą jałmużnę na niepotrzebnych.

Będą nadto różnego rodzaju czworonożne i dwunożne, ssące i niessące zwierzęta, jakoto: małpy, osły, lisy, wrony, sroki, szpaki, dudki a nawet płazy, węże i wszelkiego rodzaju owady i robaki a których poszczególnie opisywać niewarto.

Post-scriptum. Upredza się publiczność, że dla zapewnienia doboru osób, *tenue de rigueur* jest nieodzowne, i że przeto mistrz ceremonii, JW. Smórgoński, surowo przestrzeżać będzie, czy każdy z przybywających jest prawym i niepodleżanym Babińczykiem, to jest: czy ma głowę porządnie zagwożdżoną, język w pochlebstwach na podeszwę wyprawny, a kark do pokłonów i czolobitności dobrze nawykły.

BARASZKI.

« Victoria! — pisze *Trzeciemu-Majowi* jego korespondent londyński — Ba! się uda!... Dochodzik będzie czysty!... Stuart szaleje z radości, a cóż my dopiero. Staś Koźmian napisał już sonet do Stuarda, a drugi do pieniędzy właśnie kończy w tej chwili. Oby Opatrzność waszemu bazarowi poszczęściła podobnie. A czy myślicie o komedji w tym roku? Mojem zdaniem trzeba chwycić każdą sposobność, bo niewiem jak tam u was szampan i paszety, ale u nas porter i ostrzygi diable drożęją.» Podpisano: S.

— Jeden z redaktorów *Trzeciego-Maja*, niebadamy dla czego, chciał cię wymknąć swym towarzyszym; z tego powodu jeden z jego kolegów, pan O. napisał i umieścił w *Trzecim-Maju* następującą bajeczkę:

Już ja niechcę być osłem; rumakiem być wolę—

Rzekł Osioł, i rumakiem biegł w Marsowe-Pole.

« Brawo! » jedni; lecz drudzy: « Stój, i rycz tu z nami, « Aż się kto ulituje nad nami osłami. »

Redakcyja PSZONKI ponawia wezwanie do swoich Prenumeratorów o wyplatę przypadającej od nich należności.